

# Melancholia i teatr istnienia

Zbigniew Mikołajko

*Wielkie, fascynujące i szaleńczo wprost erudycyjne dzieło Jeana Starobinskiego o melancholii nie powstało w jednorazowym akcie twórczym. Narastało przez dziesięciolecia. Kształtowało się w coraz to nowych doświadczeniach, w coraz to nowych intelektualnych wyzwaniach.*

W przejściach od jednego tematu do innego, od jednego poznawczego narzędzia do drugiego. I – by uciec się do muzycznych metafor – od monodii do wielogłosu, do polifonii. Wiadomo: „medycyna brzydzi się bezczynnością”, a dzieło jest przecież o chorobie... Ale mimo to okazuje się jednolite i konsekwentne. Nie przez swą tematyczną i formalną bezwładność, przez właściwe niejednemu autorowi ciążenie ku pewnym ustalonym tematom czy wypracowanym już ogólnym formułom, lecz – przeciwnie – przez płynność i meandryczność, przez poszukiwanie w niezmożonym wysiłku umysłu kolejnych obszarów tajemnicy i wiodących tam dróg.

• Punkt wyjścia, wydawałoby się, był tu prosty i oczywisty, a nawet, w świetle świadomości dzisiejszej, banalny: „Zarówno po stronie chorego, jak i lekarza choroba jest faktem kulturowym i zmienia się wraz z warunkami kulturowymi”. Ale to jedynie punkt wyjścia, zaznaczany jeszcze przed laty, dopiero u progu tej intelektualnej wędrówki.

• Droga to jednak, niczym sama melancholia, przewrotna, paradoksalna. Taka, która biegnie zarazem w przód i wstecz, cofa się ku przeszłości, aby coś ważnego zaświadczyć o naszych czasach – i, nade wszystko, o powszechnej przygodzie człowieka. Taka też, która błąka się gdzieś po peryferiach i zbacza nawet na manowce, by ukazać coś jasnego i istotnego, „ośrodkowego”. Tak właśnie jak w przypadku słynnej opowieści o śmiechu Demokryta, którego inni mieszkańcy rodzimej Abdeiry mieli za melancholika i szaleńca, podczas gdy Hipokrates zrozumiał, że było akurat odwrotnie. Że samotność i prowokacyjna, żywiołowa radość filozofa-atomisty były jedyną możliwą postawą nie tylko wobec wariactwa i głupoty rodaków, ale całego człowieczeństwa. „To, co

JEAN STAROBINSKI  
*Atrament melancholii*



Jean Starobinski

*Atrament melancholii*

przeł. z fr. Krystyna Belaid

Gdańsk: „słowo/obraz terytorium”, 2017

(KLASYKA ŚWIATOWEJ HUMANISTYKI)

z niej zachowam dla mego obecnego celu – pisze o tej historii Starobinski – to gra przeciwieństw. Oddalenie i więź: głos satyryczny jest głosem człowieka, który trzyma się z dala, lecz w swym odosobnieniu zwraca się przeciw społeczeństwu, aby je piętnować. I oto – gniewem i śmiechem – jest związany z tymi, których potępia, z grupą, do której nie należy. Satyryczna negacja raczej ożywia relację z innymi, niż ją zrywa. Zwracając się przeciwko samemu sobie, twierdząc, że jest zabawką złowróbnego ascendentu, satyryk neguje własne znaczenie. Sprowadzony w ten sposób do nicości, może mówić wszystko o sobie samym i o świecie. Ile te słowa są warte? Doktryna melancholii pozwala je uważać za najgorszą brednię lub za najbardziej przenikliwą mądrość. Te słowa są nieważne i niebyłe (...); ale równie dobrze ujawniają one prawdę, obnażają zbrodnie i uzurpacje. Mroczna, acz świecąca hipotetyczna czarna żółć ma zarazem moc zaciemniania i zdolność rozjaśniania. Jednym słowem, wszędzie tam, gdzie pojawia się melancholia, wkrada się rozdwojenie. A najdoskonalsze rozdwojenie (...) zawiera w sobie nieuchronnie (...) komponent melancholii”.

• Można uznać te słowa za motto dialektyki Starobinskiego. Dialektyki, która tropi i obnaża szkodliwe, trujące moce czarnej, melancholicznej żółci, ale też – wydobywając na jaw przenośność oraz alegoryczną wartość „klasycznych” metod leczenia melancholii – kieruje się ku twórczym potencjom, jakie owa choroba, mniej lub bardziej realna, mniej lub bardziej urojona, niesie. W te gorzkie, bolesne i zarazem ekstatyczne obszary ducha, gdzie nawiedzone melancholią figury – błazen i poeta, filozof i utopista, malarz i wędrowiec, erudyta i mistyk – przemieniają ją na przykład, znękani swym losem, zmaganiem z wszechwładną pustką i niechybnym zmierzaniem ku śmierci, w wyzwalające ukojenie, cierpliwą i demaskatorską refleksję, „okrutną radość” albo i „konstruktywną przemoc” idealnego państwa.

• Nie daje to oczywiście ocalenia, nie zdejmuje z nas brzemienia cierpień ani nie uwalnia od trwogi przed nicością. Królestwo melancholii jest wszak skazane na zawieszenie w pół drogi (między prześmiewczą negacją a rozczarowaną afirmacją), na wiekiwstą i obezwładniającą sprzeczność. „Świadoma i bezsilna, melancholia potrafi dostrzec nieszczęście i szaleństwo świata, ale nie potrafi przezwyciężyć własnego nieszczęścia, które polega na niemożności przejścia od słów do czynów”.

• Z melancholią dzieli ową antynomiczność ironia, jej poniekąd bliźniacza siostra albo – przynajmniej – aspekt. No i w jakiejś mierze jej lekarstwo. Żeby jednak się spełnić, żeby osiągnąć swój zbawczy skutek, musi ona przekroczyć samą siebie, znieść swe własne ograniczenie. Ten akt „skruchy” i wiary pozwala jej wprowadzić „wznieść się na wyższy poziom powagi i humoru”, ale pomimo to „świat, zniszczony przez ironię, nie staje się bardziej przyjazny”. „Ironia” (*eironeia*) w końcu – Starobinski o tym nie zapomina, choć wprost nie mówi – to, zgodnie z pierwotnym znaczeniem słowa, „maska”. „Maska – powiada zatem, analizując egzystencjalizm Kierkegaarda – za pomocą której daje się przekroczyć najstraszliwsze granice, jest jednym z ulubionych narzędzi szatana. Ten, który ją wkłada, choćby tylko z zamiarem przekroczenia pewnego dialektycznego etapu na drodze ku zbawieniu, oddaje się we władanie mocy, nad której skutkami nie jest w stanie panować”.

• W rezultacie perspektywa zdaje się jednoznaczna i apokaliptyczna. Zieje zeń otchłania, tylko otchłania: „Świat jest martwy, dotknięty śmiercią, wchłaniany przez nicość. (...) I jeśli jakiś duch wznosi się nad tą powierzchnią, to jest to duch zrozpaczonej pewności, czarny obłok jałowości, z którego nigdy nie tryśnie błyskawica żadnego *fiat lux*”.

• Czyżby więc pozostała tylko rozpacz bez dna?

• Lecz Starobinski jest hermeneutą niestrudzonym i potrafi, choćby przy okazji analiz Baudelaire’a, jedną jak gdyby linią zakreślić interpretacyjny i ocalający zarazem krąg. Oczekiwanie bowiem, choćby daremne, sprawia, że melancholia nie triumfuje bez reszty, nie zwycięża absolutnie. „Kiedy jakaś przyszłość, choćby nic nie miało się w niej wydarzyć, stoi otworem przed świadomością, to pustka zmienia swe znaczenie. Spełnienie na powrót staje się możliwe. W oczekiwaniu na to, co mogłoby to spowodować, pustka nie jest już końcem świata: to już nie żaloba, lecz potencjalne przyjęcie pustki”.

• Pustka nie przestaje być wprowadzić obszarem zbawienych nadziei, miejscem oczekiwania Boga, lecz odsłania się również jako zadanie wyobraźni. Tak być musi, gdyż – jak odkrywają to przede wszystkim nowocześni poeci, właśnie od autora *Kwiatów zła* poczynając – pustka jest warunkiem koniecznym objawiania się formy, jakiejś formy. Tak oto czarna żółć melancholii, fantazmat starych medycznych rojeń, przemienia się w atrament, też czarny, którym zapisuje się wiersze. ◉